

JERZY GAŁKOWSKI

ur. 1937; Jutrosin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, Paryż, PRL, paszport, życie polityczne, życie codzienne, wyjazd do Paryża, kontrola graniczna, rewizje, propozycje współpracy z władzą

Podróż do Paryża i pobyt za granicą

Jechałem pociągiem do Paryża. Pierwszego lutego wyjechałem, pamiętam. Ładna, słoneczna pogoda była. I Warszawa, Poznań, granica, Berlin i tak dalej, i tak dalej. Do Poznania wszystko było ok, jechałem sobie swobodnie. Tuż za Poznaniem wsiada do mnie dwóch panów w zielonych mundurach, WOP. Takie otoczki czapki jaskrawozielone, trawiastozielone. Dwóch panów, starszy i jeden młody z karabinem, z bagnetem, prawda. Wchodzą do mnie, [jeden] wyciąga zdjęcie, przygląda się. „Gałkowski?”. „Tak”. „Zdjąć bagaże”. Jakies tam pytania. Przewalili mi szybko walizkę – pamiętam, walizkę miałem i torbę taką podróżną – przewalili szybko, niczego nie znaleźli. Żadnej kontrabandy, żadnych jakichś nielegalnych rzeczy, których zresztą nie wiozłem. Został ten młody chłopak.

Między Poznaniem a granicą pociąg się nie zatrzymuje, zatrzymuje się na granicy. Przychodzą panowie: „Wysiadać! Wysiadać!”. Jakoś miałem tak umieszczony wagon, że do stacji musiałem przedefilować przed całym pociągiem, a było jeszcze weselej, bo ci do tego żołnierza, to był taki ze zwykłego poboru chyba: „Weź pana bagaże”. No więc oficer, ja, ten z bagażami i zamykał następny oficer cały pochód, prawda, przed całym pociągiem. Ci ludzie patrzą na mnie – bandytę złapali, czy coś takiego. Na strażnicę. Pociąg pojechał sobie, a ja zostałem. Przyszło czterech panów. Przeprowadzili mi około czterech godzin rewizję. Pierwsze pytanie: „Czy wiecie pan jakieś materiały dotyczące sytuacji Kościoła w Polsce?”. A ja na to odpowiadam tak: „A jak powiem, że nie, to będę mógł sobie pójść”. „Oczywiście, że nie!”. „To po co pan pyta? Rób pan swoje”. Cztery godziny rewizja trwała, więc każdy szewek prawie, do guzika się chcieli każdego dostać. No bo ja jechałem na długi czas, prawie na rok, więc brałem ze sobą sporo bagażu, bielizna, koszule i tak dalej, i tak dalej. Jakaś godzina dziesiąta wieczorem pewno: „No, może pan iść”. Ja mówię: „Dokąd ja mam iść?”. „Tu miasteczko jest niedaleko, dwadzieścia kilometrów stąd”. Ja mówię: „Po co ja mam jechać do tego miasteczka?”. „Nocować”. „A jak mam się do tego miasteczka

dostać?”. „No, o tej porze to już musi pan zamówić taksówkę”. Ja mówię: „Nie mam pieniędzy ani na taksówkę, ani na hotel. Nie stać mnie na to. Nie mam pieniędzy – i naprawdę nie miałem – zdjęliście mnie z pociągu, wasza sprawa, to teraz się mną zajmijcie”. Zamknęli mnie w jakimś pokoju, pozamykawszy zresztą szafy, jeśli tam jakieś były. Później w połowie nocy przyszli, przenieśli mnie do innego pokoju jeszcze. To zestawilem dwa fotele, przespałem się do rana.

Rano mówią: „To wsiądzie pan do pociągu, pojedzie pan”. Tylko co się okazało, że ja miałem na inną trasę wykupiony [bilet]. Były dwa pociągi jadące z Polski do Paryża – przez północne Niemcy, Brukselę do Paryża albo przez południowe Niemcy, Zagłębie Saary, od południa dojeżdżający do Paryża. Ja miałem wykupiony bilet na tę północną [trasę]. Wobec tego w Niemczech tylko kawałek drogi był [wspólny dla obu tras]. Pierwszy konduktor przychodzi niemiecki, enerdowski. Mówi: „inna trasa”. Ja po niemiecku – słabiutko. Aleśmy się dogadali – dałem mu w łapę dziesięć franków. On stał pod drzwiami i pilnował, żeby mi nikt nie przyszedł. No, ale mi to wystarczyło do Niemiec Zachodnich, przychodzi konduktor z zachodnich Niemiec i mówi: „Panie, dopłacać trzeba, bo pan jedzie dłuższą trasą”. No, jak trzeba dopłacać, [to trzeba]. Można było pięć dolarów wtenczas wywieźć, to ja równoważność we frankach wywoziłem i jeszcze chyba mi szwagierka przysłała, jeszcze przez jakieś ceregiele można było tam sobie dobrać. Nie miałem marek, zapłaciłem temu Niemcowi frankami. Francuzi już mi dali spokój, już przez Francję dojechałem.

Tylko że jest historia taka – miałem w Paryżu być rano i szwagierka na mnie czekała, ale ja przyjechałem wieczorem. Szwagierka na mnie nie czekała, bo czekała na ranny [pociąg], zresztą na innym dworcu. Jest Paryż północny i Paryż wschodni, Gar du Nord i Gare de l'Est”. Miałem przyjechać na Nord, przyjechałem na l'Est. Wsiadam. Mam pięć, dziesięć franków w kieszeni, to jest wszystko, cały majątek, dwa dolary chyba całe. To jest nic. Czekam. Nie miałem jej adresu, ona nie miała telefonu, miała przyjść, nie przychodzi. Siedzę, czekam, oglądam się. Ona nie może przyjść, bo przecież to jest 12 godzin różnicy. Co ja mam zrobić? Nie mam jej adresu, dlatego że ona dawała adres swojej znajomej Francuzki, na który się listy pisało, nie wiem, z jakich względów nie chciała [podać] tego adresu, pod którym mieszkała faktycznie. Co zrobić? I w pewnym momencie zaskoczyłem – nie wiem jakimś cudem, ale miałem przy sobie adres seminarium polskiego w Paryżu. Coś, kiedyś, jakiś tam musiałem [mieć kontakt], z jakichś względów i nie wyrzuciłem tego adresu, miałem w portfelu. Z duszą na ramieniu siadam do taksówki, bo nie wiem, ile pieniędzy [potrzebuję], ja mam grosze już tylko. To są wielkie pieniądze na polskie, ale tam to są grosze. Jeszcze musiałem dojść. Stukam, jest wcześniej rano, 8 godzina w Paryżu to jest wcześniej rano, nawet przed 8 to chyba jeszcze było. Wreszcie ktoś otwiera i mówię po francusku, staram się. A on mówi: „Może pan gadać po polsku”. Rozpoznał mój piękny słowiański akcent portier. Mówię: „Chciałbym z rektorem seminarium rozmawiać”. „Ksiądz rektor odprawia Mszę świętą. Niech pan sobie siądzie i poczeka”. Zaczyna mnie wypytywać, skąd, gdzie,

co? Ja mówię: „Przyjechałem z Lublina, z KUL-u”. „Z KUL-u? To wasz rektor tutaj jest. Razem z naszym rektorem Mszę odprawia”. Ksiądz rektor Rechowicz, z którym byłem w świetnych stosunkach. No, Msza się skończyła. Podchodzę do księdza rektora. „Skąd [ty] tutaj?”. No i znowu opowiedziałem. „Chodź na śniadanie”.

I dzięki temu zatrzymałem się i mieszkałem 9, czy 10 miesięcy w Paryżu. Brałem udział dzięki temu w rewolucji francuskiej, w maju [19]68 roku. A to seminarium było dziesięć kroków, w skrócie mówiąc, od Sorbony, więc w samym jądrze tej rewolucji byłem. Ale nie to jest ważne, chcę mówić o dalszych przygodach paszportowych, bo na tym się nie skończyło. Jak się przyjeżdżało, to w tym czasie w ciągu trzech dni należało oddać paszport, więc ja przychodzę oddać paszport, a oni mówią: „Proszę nie oddawać, proszę przyjść jutro i oddać, bo tutaj nie ma tego, który to odbiera”. Czułem pismo nosem i dobrze wyczułem. Poszedłem [następnego dnia]. Wezwali mnie jeszcze za tydzień i za dwa, z pięć, sześć, siedem razy. I teraz jest gadka innego rodzaju. Tak jak przedtem mam przywozić wiadomości o nowej technologii samochodowej, tak teraz mnie się pyta ten pan o różne rzeczy, między innymi: „Czy na KUL przyjeżdżają jacyś ludzie z zagranicy z wykładami, z odczytami?”. Ja mówię: „Przecież wie pan, że przyjeżdżają. Co się pan pyta?”. „A jak oni przyjeżdżają, to tak wcześniej to wiadomo?”. Ja mówię: „Proszę pana, pewno, że wcześniej wiadomo. Przecież to jest rozplakatowane, bo ludzie muszą wiedzieć, jak jest odczyt”. „A zanim jest rozplakatowane, to czy się wie?”. „Na ogół się wie, bo przecież plakat wisi tydzień ostatni, a tak to się mówi o tym”, bo to była rzadkość, ewenement, że ktoś przyjeżdża, to to było takie ekscytujące. Ja mówię: „No, wie się”. „To my mamy prośbę, żeby pan, jak pan się dowie, że ktoś przyjeżdża, [poinformował], o, proszę, panu tutaj na kartce daję telefon. Proszę do mnie zadzwonić, że będzie odczyt”. Ja mówię: „Proszę pana, jak pan chce być dobrze poinformowany, to proszę tutaj na kartce numer rektoratu. Może pan zadzwonić do rektoratu. Niech sobie pan zapisze numer rektoratu”. „Ale nie! Nie! Wie pan, to rektorat, a my byśmy chcieli od pana”. Ja mówię: „No, wie pan. Ja tam niewiele wiem”. I mnie namawia: „Pańscy koledzy są bardziej życzliwi, bardziej rozmowni. Oni chętnie współpracują. Mówią”. „No, widzi pan. No to jak inni mówią, to co ja jeszcze mam do powiedzenia”. Wymiguję się, jak mogę. I on naciska, że jednak my byśmy chcieli, żeby pan. Za którymś razem już ze złością mówię: „Panie, pan chodził do szkoły?”. On się zezłościł: „Co pan sobie myśli!”, „No to musi pan znać powiedzonko: nie mów bawole, co się dzieje w szkole, choćby cię smażyli w smole”. I na tym się skończyło na ten czas.

Później były jeszcze inne przygody: „Czy mógłby pan nam sprawozdanie zostawić ze swojego pobytu”. Ja mówię: „Oczywiście, proszę pana. Zresztą ja jestem takie sprawozdanie zobowiązany zostawić w rektoracie, jak przyjadę, wie pan, a z części takiej merytorycznej to ja artykuł napiszę i ja panu przyślę odbitkę”. „Ja nie chcę odbitki! Ja chcę, żeby pan takie inne rzeczy!”. Ja mówię: „Nie. Mnie, wie pan, inne rzeczy nie interesują. Dokładnie powiem, jaka jest sytuacja filozofii we Francji”. Oczywiście, wyrzucił mnie za drzwi.

Data i miejsce nagrania	2005-06-30, Lublin
Rozmawiał/a	Agnieszka Zielińska
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"